

Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY.

No. 11.

Leszno,
dnia 12. Września 1840.

Słobodyszcze, powiastka,

przez

Michała Czajkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Przed miesiącami Anna niepokazywała się nigdy gościom, przybywającym odwiedzić pana Jakubowskiego, i mówiono, mąż zazdrośny młodą żonę, jak w muzułmańskim haremie zamkniętą trzyma; i obmowa to była pusta; onby chciał całemu światu ją pokazać, i nią się chlubić przed światem; ludzkim nałogiem, co chce i lubi, żeby wszyscy chwalili i zazdrościli tego, co on posiada; ale nie mógł, Anna niechciała, a teraz sama wychodzi do gości i rozmawia z nimi, i gościnność domu umila grzecznością; tą ponętą, co czarodziejskim urokiem zwabia odwiedziny. Ona to robiła nie z własnego upodobania, ale przez chęć przypodobania się mężowi, przez wdzięczność, ofiarą odpłacała za ofiarę.

Przed miesiącomą nigdzie niechciała wyjechać z Słobodyszcza, jak gdyby chciała żywcem zagrzebać się w Dymitrowym zamku: a teraz sama powiada: jedźmy w sąsiedztwo; i już nie dodaje panie, tylko mówi mężu, a czasami nawet, Pietrze; ah, i jakże to nagła zmiana. On jęj sprowadza adamaszki i złote lamy, perły i klejnoty, sorokami sobole, i wszystko, czego dusza zapragnąćby mogła, oprócz ptaśiego mleka, bo tego nigdzie nie dostać; czy jęj to radość sprawia, czy nie, tego niewiadomo, ale zawsze na podziękowanie się mu uśmiecha; ona się uwzięła, żeby obudzać w jego sercu nadzieję szczęścia przez wdzięczność.

Goście i sąsiedzi ci, co nieznali dawniej Anny, mówili: jaki szczęśliwy pan Jakubowski, ma dobrą żonę, co go tak kocha; ci, co ją znali, powiadali czasem: tak kochała Dymitra, a zapomniawszy o nim; nie dziwnego, zwyczajnie kobieta. W oczach ludzkich Piotr Jakubowski nosił na sobie ciężar ogromnego szczęścia, a w swoim własnym sercu żywił cierpką boleść, bo też to boleść jakich mało, mieć bezustannie w myśli i w ustach imię kochanka swojej kochanki, a do tego żony; i nie móżdż o nim mówić z gniewem, z nienawiścią, ale z uzaleniem się jak o przyjaciela. Jednak już pierwsze nagrody swojej ofiary widział, a na dal zostawała mu nadzieja.

Tak się działo w Słobodyszczach w zamku między państwem Jakubowskim, kiedy jednej niedzieli zrana pojechano do Tryhur, na nabo-

żeństwo do kościoła księży Bazylianów; Anna nie była ni smutniejszą, ni weselszą, jak to jęj obyczaj, od niejakiego czasu. Jakubowski mówił w drodze o Dymitrze; sam rzekł: Dam na mszę, na akafest, i jałmużnę każę rozdać, na intencją o jego pomyślność, o jego prędkości powrót, bo on żyć musi, tak mi przeczuć mówi. Zona na podziękowanie sama go pocałowała w twarz. Pietrze, jakżeś ty dobry; i ża za-błysła, i półśmiech poigrał z ustami, pocałunku samowolnego jeszcze dotąd nie było.

W kościele Anna modliła się szczerze na klęczkach, kiedy Bazylianie mnogim chórem poczęli śpiewać hymny na cześć Boga Twórcy i Matki Dziewicy i Zbawiciela rodu ludzkiego, jak zawsze. Czegóż tak nagle modląca się niewiasta pobladła, skłania się skłania, chyli ku ziemi, byłaby się osunęła na kamienną posadzkę, gdyby jęj mąż nie pochwycił i nie wyniósł do zakrystyi. Tam otworzyła oczy: „Słabo mi było!” i chciała stanąć o swojej sile, a musiała się oprzeć na ramieniu męża.

„Moja duszko, co ci jest takiego?”

„Słabo mi było — to nic — przejdzie — jedźmy!”

„Mój aniele, zajdźmy do księdza przełożonego, tam spocznieś trochę.”

„Oh nie, dziękuję, jedźmy.”

„Poczekaj Anusiu, napij się wody, tyś tak pobladła.”

„To nic, mój mężu, jedźmy.” I wzięła go za ramię, i tak błagalnie mu spojrzała w oczy, że on nie mógł oprzeć się jęj chceniu, i pojechali.

W drodze Jakubowski przypomniał sobie. „Niemiałem czasu dać pieniędzy na intencją Dymitra, posłę do domu.” Ale Anna nic nie powiedziała, tylko parę razy westchnęła smutnie, jakby jaki ciężar przywalił jęj serce. Mąż łamał sobie myśl na odgadnienie, co ona usłyszała w kościele, i zawsze przychodził do tegoż samego wniosku; to jakieś przypomnienie. Anna była smutną, prawie zawsze zamyśloną, ale z mężem uprzejmą i dziecię swoje pieściła, tylko kiedy mąż mówił o Dymitrze, ona nic nieodpowiadała.

W tym czasie Bohdanko Chmielnicki powołał część starszyny kozackiej do Perejasławia; Piotr Jakubowski musiał tam jechać, kiedy zęgnął żonę, to ją ścisnął, całował, a ona mu powiadała: „Nie baw długo, powracaj do nas,”

malutkiego synka podała ojcu, i bardzo jej smutno było.

Ze łzami w oczach wyjechał z domu Jakubowski, zaleciwszy Watażce i sotnikom, ostrożność i pilność, bo to w zawłaszczonym kraju, a tam za lada czem głucha cisza porodzić może gwałtowną burzę.

4.

Słońce zachodziło, gdzieś tam za skryhlowiecki las, a zachodziło krwawo, na wiatr; oh, to chwila dumania; choćby jaki człowiek, kiedy stanie i spojrzy na zachodzące słońce, musi chwilę podumać, bo to przejście z jasnego ruchu życia, do szarego spoczynku, jest niejako oswajanie z wiecznym snem śmierci.

W Słobodyszczach u zamkowego okna siedziała piękna Anna, na jej kolanach malutki synek piał się, aby rączkami poigrać z gładkim licem, zkruczmy włosy mamy. Ona, białą dłonią broniła się od jego pieśczoł, i powiodła okiem na czerwone słońce, i na płowy step oblekający się mglistym tumanem — westchnęła; wtém dziecina chwyciła ją za palec, i gwałtem chciała zerwać pierścień, pierścień zaręczyn z Dymitrem; lzy jej stanęły w oczach: „Może to on — jego głos — oh nie, to nie on — on tam być nie mógł;” i spuściła czoło ku dziecinie i jasne jego włoski muskała rumianami ustami.

Wszedł Watażka zamku, pokłonił się, sełdec poprawił, was musnął.

„Wielmożna pani, ksiądz Bazylian przyjechał z Tryhur od księdza przełożonego.“

„To go prosić, i prosić pana rządce.“

„On chce koniecznie z Wielmożną panią się widzieć.“

„To go prosić.“ Odszedł Watażka, Anna wstała, weszła do drugiej komnaty, oddała dziecko niance, i wróciła na powrót.

W komnacie już był Bazylian sam jeden. Czemuż u niego tak dumne czoło, wzrok tak groźny, wszak on mnich, nie pan ziemski, nie ataman Zaporozia. Czegoż ona tak zadrała, spuściła oczy, i naprzód kroku nie postąpiła, wszak ona nie przestępna niewolnica haremu idzie na zawołanie gniewnego baszy, tylko bogobojna Chrześcianka staje przed kapłanem Bożym.

Mnich potraśił głową: „Anno! Anno!“

Ona oparła się o ścianę: „Dymitrze, to ty!“

„Ja Dymitr Mohyla, twój kochanek!“ i zbliżył się do niej, i chciał ją wziąć za rękę. „Dymitrze, litości, ja mam męża!“ i padła na kolana.

On jej nie podniósł, nie dotknął nawet. „Wiarołomna!“ takim głosem to wymówił, jak gdyby serce jęknęło, i oboje czas jakiś milczeli.

Na jego śniadą twarz wystąpiło ponure uczucie, czy zemsty, czy rozpacz, i błyszczało tak smutnie, jak błędny ogień na grobach mogil-

nika. Wzrok miał posępny i czoło posępne, a postać gibka, rosła, nie punoszyła się dawnym zapałem, i temi przechwałkami nieszczęścia, cechą człowieka, który więcej chce, jak może, niegarbiła się pod ciężarem nieszczęścia, tym za kiem upadku w niedoli, tēm żebraniem jałmużną, litości, ale była w tēm mierze zwyczajnej, która do każdego zagada, nie potrzebuje straszyć, ani tēm pomocy i litości niczyjnej nie potrzebuje; cierpię, ale sam sobie wystarczę w mojem cierpieniu.

Ona podniosła na niego łzawe oczy, jakby na wyrzut jego cierpkim słowu: „Dymitrze ty wiesz wszystko.“

„O wiem, wiem wszystko, daruj Anno!“ i wziął ją za rękę, i ona się podniosła, ale zaraz wyrwała swoją rękę z jego ręki.

„Dymitrze, tyś mnich.“

„Ja nie mnich, Anno! ja wziąłem suknię mniszą, żeby ciebie pomścić, siebie pomścić —“

„Ja mam męża.“

„Zdrajcę ojczyźnie, zdrajcę ludzkości.“ Ona pobladła, ale i słowa nie rzekła. „Słuchaj Anno, wyrzeknij się tego człowieka zbrodni, bez czci i wiary!“ i chciał ją ująć za ramię; oczy mu pałały miłością i prośbą.

Ona wbok się zemknęła i prędko zawołała, jak gdyby gwałt sercu robiła: „O nie, nie; to mój mąż!“

„Twój mąż?“ przez zęby przepuścił grobowy głos. „I ty go kochasz, Anno?“

Ona milczała.

„Mów Anno, tyś z nim szczęśliwa?“

Szepnęła: „Szczęśliwa!“ i oczy skryła w dłoni.

„Szczęśliwa! Wiarołomna!“ zawołał Mohyla, i wtenczas postawą i twarzą był jak dziki zwiastun śmierci i spustoszenia, jak ataman Zaporozia, kiedy z Kureniami Mołodzców przybieży nad Perekop, powie Tatarzynowi: niechcesz co ja chcę, to ogień i miecz swoje zrobią.

„Słuchaj, Anno, ty niechcesz jechać ze mną, ty niechcesz jego porzucić? Śmierć jemu, śmierć wszystkim jego, ja się pomścę, zobaczymy!“

Ona drżąca, blada, padła przed nim na kolana. „Stój Dymitrze, Dymitrze; on przyrzekł, on ci wszystko odda.“

„Oprócz ciebie.“

„On taki dobry, on tak mnie kocha.“

„Precz, wiarołomna!“ i odrzucił ją od siebie; „ty za nim błagasz, precz, precz!“ Ona jęknęła, i twarz przyłożyła do nagiętej podłogi; zimno jej było, gorąco jej było; dreszcz porwał ciało, a dusza tak się zbłąkała, iż straciła pamięć. Kiedy otworzyła oczy, była na wezgłowi, a mnich Bazylian Mohyla klęczał koło niej, łzami ją trzeźwił, i biała jej rączkę przyciskał to do ust, to do serca. Z cicha ustami zaszemrała: „Dymitrze, mój Dymitrze!“

„Anno, ty mnie kochasz.“

„Kocham, oh kocham!“

Mohyla twarz swoją zbliżył do twarzy Anny, usta nawet przyłożył do jej ust, pocałował. „Tyś moja, tyś moja,” i w objęciu ujmował jej wiotką kibić.

Ona sprężyła się, wymknęła z jego objęcia. „O nie, nie, nie!” i stanęła na nogi, i oczy jej błyszczały, i twarz była rozpłomieniona; złożyła ręce jak do modłów: „Dymitrze, litości, ja mam męża.”

I on złożył ręce dłońami: „Anno, litości, ja ciebie Kocham!”

„Nie dla nas szczęście.”

„Dla nas, dla nas, Anno;” i znowu chciał ją pochwylić w objęciu; ona jeszcze raz obroniła się od gorących uścisków.

„Dymitrze — powinność — ludzie —” i błagała go oczyma, jakby o życie dla siebie.

„Ty mnie niekochasz, Anno!”

„Oh, Kocham!”

„Anno, kiedy mnie Kochasz, bądźże moją!” Wziął ją za rękę, i przyciągnął do siebie; z początku się nie opierała, ale nagle zatrzymała się. „Słuchaj, Dymitrze, ja z tobą ucieknę!”

„Kiedy?”

„Dziś.”

„Zaraz.”

„Jakże, jeszcze dzień, przy ludziach.”

„Prawda, w nocy.”

„A straż?”

Pomyślał. „Słuchaj, Anno! — w komnacie twego —” zgrzytnął zębem, „tego zdrajcy, za makatą, tam gdzie był wizerunek mego ojca, niewiem, czy teraz jest,” westchnął; „o ja wiem, że tam, w tej mojej komnacie, ten zdrajca obrał dla siebie mieszkanie dzienne; tam w murze jest głowa gwoźdźcia wsunięta w mur, gliną zabelona, chodźmy tam.”

„O nie, ja znajduję, mów Dymitrze.”

„Znajdziesz, prawda, to na gładkim murze dołek znaczny, pociśnij, odskoczą drzwiczki, i zobaczysz wschody; nielekaj się Anno, choć one kręte i ciemne, ale wygodne, bo droga do mnie, do naszego szczęścia; trzymaj się ręką muru, i idź ciągle pieczarą; nie zbłądzisz, tylko kroku niecofnij, idź naprzód; jak usłyszysz szum i mruczenie, nielekaj się; to rozmowa Hnyłopiata ze zwirem i ze skałami, a ja tam będę czekał na ciebie, moja luba, moja jedyna, nie zabraknie nam świata, nie zabraknie szczęścia; Anno, Anno, ty mnie przyrzekasz.

Spuściła czoło ku ziemi, zarumieniła się jak jagoda maliny, nawet z lekka zadrzała jak liść osiki. „Przyrzekam, Dymitrze,” i ścisnęła mu rękę lubym uściskiem.

On ją w rękę całował! „Anno, moja Anno!” głos mu dygotał, twarz mu zakraśniał, oczy iskrzyły się jak żarzewne węgle; z ust gorącym tchem wionął.

„Dymitrze, uciekaj, bo wszystko się nieuda!” i drżała jak w febrze.

„Anno, jeden pocałunek!”

„Maż,” i pocałowała go, „uciekaj!”

On ją ucałował namiętnie, uściskał nawet. Bądź zdrowa Anno! do północy — pamiętaj! pamiętaj!” puścił ją z objęcia, i szybko za drzwi wyszedł, widząc, żeby się nagle od niej oderwał, jak pijany, jak szalony.

Ona na wezglowie padła: „Dymitrze poczekaj, Dymitrze,” i ramiona ku niemu wyciągała, i usta jak do pocałunku się składały, i oczy na pół się przymykały, polotna rzęsa spadała na nie, i dziwna, nieznana lubość lała się po jej duszy i po jej ciele; ale jego w komnacie już nie było.

Długą godzinę trwała rozmowa pani z Bazylianem, a nikt nie śmiał jej przerwać, choć słyszano głuchy płacz, i głuchy jęk i głośniejsze słowa; nikt nie śmiał wejść do komnaty, bo taki był rozkaz pana. Nigdy nie stawiać się przed obliczem pani, póki ona sama nie zawoła. A ona niewołała i nikt nie wszedł, choć nianka Tetiana i Watażka Semen, dawny i niedostępny sługa i towarzysz Piotra Jakubowskiego, byli tuż w pobliżu, gotowi na jej rozkazy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ubieżenie zamku krakowskiego w r. 1772.

Z *Viomenila*.

Jednym z najpiękniejszych epizodów konfederacji barskiej jest ubieżenie Krakowa w roku 1772., dnia 2. Lutego, przez podpułkownika Choisi, Francuza, w służbie konfederacji. Udzielamy czytelnikom pisma naszego opis tego ubieżenia, ułożony podług rapportu samego podpułkownika Choisi, i innych współczesnych raportów.

Konfederaci zajmując w paretet ludzi Tyniec, dla nadania działaniom swoim wojennym mocniejszej podstawy, a zarazem dla zrobienia w narodzie silniejszego wrażenia, postanowili ubiedz miasto Kraków, drugą wówczas po Warszawie stolicę Polski. Ale jak wziąć miasto obwarowane dobrze (przeciw Konfederatom), osadzone działami, wzmocnione palisadami, rowami, strzeżone od 1000 ludzi regularnej piechoty, którą w kilku godzinach wesprzeć mogło 6000 wojska wokolicy stojącego? O szturmie, bez dział cięższego kalibru, bez amunicji, ani myśleć nie było można garstce Konfederatów. Postanowiono tedy na jednej z walnych rad naczelników konfederacji miasto ubiedz i robiono ku temu rozmaite plany. Tak n. p. archiwista jeden grodzki, mieszkający w zamku, a mający porozumienie z Konfederatami w Tyńcu, doradzał, aby Konfederaci podczas ciemnej nocy podemknąwszy się bez szelustu pod zamek z drabinkami, takowe przystawili do okna jednego, które zamiast żelaznych



Zamek krakowski z strony wschodnio-południowej.

drewniane, czarno pomalowane kraty miało. Właściciel domu, tuż pod górą zamkową stojącego, zachęcał Konfederatów, aby z niego podkop do zamku zrobić, i zrobionym otworem ludzi wprowadzić. Przeor karmelicki okazał gotowość zrobienia podkopu szerokiego pod murem ogrodu klasztornego, którędyby się Konfederaci do miasta dostać mogli. Inni jeszcze, inne sposoby, mniej, więcej trudne, dostania się do Krakowa, Konfederatom podawali. Projekt archiwisty podobał się najbardziej, i Walewski, jeden z marszałków konfederacji małopolskiej (krakowski), postanowił go wykonać. Dobrawszy sobie kilkuset odważnych, i na wszystko gotowych ludzi, ruszył około dziesiątej godziny w wieczór z Tyńca, zmierzając małymi drogami ku Krakowu. Na nieszczęście wśród drogi trafił na podjazd nieprzyjacielski, który spostrzegłszy Konfederatów w znacznej liczbie, zwrócił natychmiast konie ku Krakowu, ostrzegając garnizon o zbliżaniu się Konfederatów. Po takowem zdarzeniu roztropność nieradziła Walewskiemu zbliżać się do Krakowa, gdzie już zapewne na jego przyjęcie czekano. Wrócił tedy spokojnie do Tyńca, nie dawszy nawet

o sobie najmniejszego podejrzenia, że wymyślił zamach na Kraków knuje. Nie udanie się pierwszego projektu, stręczyło Konfederatom chwycenie się drugiego, to jest, dostania się do zamku podkopem z domu, który tuż pod górą zamkową stał. Walewski odkrył ten zamiar podpułkownikowi Choisi, zasięgając w tej mierze rady u niego, jako znającego się lepiej odeń na tym rzemiośle. Wszystko, co jest nadzwyczajnem, awanturniczem, porywa i unosi umysł Francuza. Otoż i Choisi chwycił się skwapliwie tego projektu, i wziął na siebie wykonanie jego. Sprowadził naprzód do Tyńca właściciela owego domu pod górą zamkową, wyliczył mu 2000 dukatów za dom, a wziął w zakład jego rodzinę. Po zawarciu umowy, wprowadzono nieznacznie do domu kilku młotów, i z największą ostrożnością robotę rozpoczęto. Ta gdy tak daleko posunięta była, że tylko cienka warstwa ziemi do przebicia została, aby się do zamku dostać, uwiadomiono o tem niezwłocznie pana Choisi; przymem oznajmiono mu, że podkop z ogrodu karmelickiego jest już także gotowy. Oprócz tego jeden z Konfederatów dobrze obznajmiony z miejscowo-



Zamek krakowski z strony zachodniej.

ścią wskazywał jeszcze trzecią drogę do zamku, to jest rynsztok, odprowadzający do Wisły ścieki zamkowe, tak szeroki, że w nim po jednym czołgać się było można.

Gdy już wszystko było przygotowanem, a sekret ściśle zachowanym, podpułkownik Choisi wyszedł z Tyńca w 500 ludzi, ubranych w białe koszule na wierzch mundurów, dla wzajemnego w ciemnej nocy poznania się; szedł manowcami, dla uniknienia podjazdów nieprzyjacielskich, a gdy już pod samo miasto się zbliżył, podzielił garstkę ludzi swoich na kilka oddziałów. Trzydziestu ludzi pod dowództwem oficera francuzkiego de Saillans, posłał do domu pod górą zamkową; drugie trzydziestu, pod dowództwem kapitana de Viomenil, do rynsztoku, sam zaś na czele 400 ludzi, poszedł do muru ogrodowego u Karmelitów, dokąd tak źle był prowadzonym, że gdy u muru stanął, połowa jego ludzi zabląkała się w drodze, musiał więc na nią przeszedł godzinę czekać. Gdy nadeszła, było już w pół do czwartej. Kazał zatem przewodnikowi wskazać sobie obiecany otwór, którego nigdzie nieznalazłszy, i niechcąc czasu tracić na wdzieraniu się do zamku otworem

zrobionym przez minierów, tak ciasnym, że ledwie jeden żołnierz mógł się weń wmieścić, powrócił do Tyńca. Oddziały pod dowództwem panów Saillans i Viomenila były szczęśliwsze. Viomenil przybywszy do rynsztoku, rzucił się weń bez namysłu; za przykładem walecznego dowódcy poszli jego podkomendni, poszedł i Saillans z swoim oddziałem. Viomenil dostawszy się na podwórze zamkowe, ubił natychmiast drzemiącego żołnierza, na straży stojącego; taki sam los spotkał drugiego żołnierza z straży i oficera, który mu się później nawinał. Wszystko to stało się bez najmniejszego szelestu i woka mgnienu. Tymczasem cały oddział wszedł rynsztokiem na dziedziniec zamkowy, a ujrawszy w jednym oknie światło, domyślił się, że to jest odwach, i uderzył nań z straszliwszym okrzykiem: złóżcie broń! Nieprzyjaciół rozmarzony snem i gorzałką, przerażony samym widokiem ludzi w koszulach, błotem powalanych, poddał się natychmiast, wyjąwszy kilku ludzi, którzy wyskoczywszy oknem, potrafili uciec z zamku, i donieść swoim w mieście, co się na zamku działo. Uderzono zatem w mieście w bębny na alarm, a gdy nieprzyja-

ciel całą siłę swoją na rynku zebrał, ruszył z działem jednym ku zamkowi, kazawszy doń strzelać bez przerwy z ręcznej broni i z armaty. Choisi, który z swoim oddziałem już się pod Tyńcem znajdował, usłyszawszy strzelanie, domyślił się natychmiast, że oddziały pod dowództwem Viomenila i Saillans zamek oparowały; wrócił przeto niezwłocznie ku Krakowu. Tymczasem Konfederaci w zamku odparli trzy szturmowanie dziesięć razy liczniejszego nieprzyjaciela, ubiwszy mu kilkudziesiąt, a raniwszy kilkaset ludzi. Z tem wszystkiem dziewięciogodzinne natężenie sił, przewaga numeryczna nieprzyjaciela, nareszcie niepodobieństwo bronienia dłużej w sto kilkadziesiąt ludzi warowni dosyć rozległej, ze wszech stron atakowanej, przekonywały oblężonych, że im nic nie pozostało, jak kapitulować, albo się zbrojną dłonią przez szyki nieprzyjacielskie przebić. Obrali ten ostatni środek. Już się do wykonania go gotowali, już chcieli bramę otworzyć, gdy huk ręcznej broni około mostu, zwiastowała im pomoc niespodzianą. Było Choisi z oddziałem swoim, który wdarłszy się do miasta nagłą napaścią, z tyłu nieprzyjaciela zmieszawszy, wszedł do zamku z swoimi ludźmi, wprowadziwszy doń także jedną armatę; drugą, do użycia zdatną, zostali tam już Konfederaci. Choisi znalazł w zamku skład niezmierny rozmaitych rzeczy, jakoto owsa i siana na 1000 koni na kilka miesięcy, maki kilkaset wiertel, mnóstwo zboża i amunicji. Nieprzyjaciel utracił w tym ataku 120 ludzi zabitych, 91 wjeńcach; z strony Konfederatów odnieśli rany oficer francuzki Charlot, major Wąsowicz i czterech prostych żołnierzy.

Choisi stanawszy w zamku, posłał do barona Viomenil, generała w służbie konfederacyi, i do marszałka Walewskiego raport obszerny o całym tem zdarzeniu, i żądał pomocy w celu odebrania miasta samego z rąk nieprzyjaciela. Walewski posłał wskutek tego wezwania podpułkownikowi Choisi 150 dragonii do zamku krakowskiego, a z Lanckorony ściągnął do Tyńca 250 piechoty i dwa działa pod dowództwem Dzierzbickiego, marszałka powiatu łęczyckiego, mając dnia 3. Lutego 1772. r. na Kraków uderzyć. Tymczasem dowiedziawszy się w marszu swoim na Kraków, że nieprzyjaciel wzmocnił załogę swoją w tem mieście, zmienił plan oparowania miasta, i postanowił wprowadzić do zamku oddział piechoty z jednym działem, pod dowództwem oficera francuzkiego Galiberta. Po silnym oporze z strony nieprzyjaciół, oficer ten przedarł się do zamku, utraciwszy 40 ludzi zabitych, a między tymi porucznika Lisieckiego. Wczasy tego ataku Choisi znalazł sposobność doniesienia Walewskiemu, że dnia 5. t. m. zrobi wycieczkę, i wezwał go, aby ją całym wsparł siłami. W nocy z dnia 4. na 5. Lutego zbliżył się Walewski z całą jazdą swoją

pod Kraków, ale dowiedziawszy się, że Suwarow z piechotą, a Branicki z ułanami już go uprzedzili, wrócił do Tyńca, straciwszy kilkadziesiąt ludzi zabitych i pojmanych.

Po cofnieniu się Walewskiego do Tyńca, Suwarow obległ zamek w 5000 ludzi. Choisi, dla łatwiejszej obrony, spalił przyległe zamkowej górze domy, blisko bramy grodzkiej, i zrobił dnia 13. Lutego wycieczkę, w której 200 ludzi nieprzyjacielowi ubił, lub w niewolę zabrał. Od dnia 13. do 19. nieprzyjaciel dawał wciąż ognia do zamku, z ręcznej broni i z dział. Ogień ten ponowił w dniu 27. i 29. Lutego, ale zawsze z znaczną stratą odpartym został. Wszakże, gdy oblężeni niedostali zniskąd odsieczy, gdy głodem i nieustannymi trudami, a nareszcie i chorobami wycieńczeni zostali, musiał waleczny Choisi w dniu 27. Kwietnia t. r. kapitulować.

Kralice.

Gra ta znajoma u Serbów i Czechów, u innych pokoleń słowiańskich nieznaną, a przynajmniej dotąd nieodkrytą. Kralice grają zwyczajnie każdego lata, i to nie na jednym miejscu, ale przed każdym domem we wsi. Początek gry zaczyna się przed domem królowej. Pierwsza pieśń, którą śpiewa grono dziewcząt, stanawszy przed jej domem, zawiera prośbę do gospodarza i gospodyni, by wynieśli tron (stolice), na którymby usiąść mogła królowa. Jeżeli do drugiej wsi w Serbii idą, dwaj młodzieńcy uzbrojeni odprowadzają drużynę królowej.

Gry tę poszczególnie tak odbywają: Całe grono dziewcząt składa się z dziesięciu lub piętnastu stanowiących koło. Na lewem skrzydle tego koła stoi piękna i obrotna dziewczyna, mając na głowie czepiec kwiatami ozdobny, w prawej ręce trzyma miecz, i zowie się kral (król). Na prawem skrzydle koła stoi drugie dziewczę, równe urodą pierwszej, znamienitsza ozdobniejszemi szaty, dzierży w prawej ręce na kopii proporzec białej a czerwonej barwy, i zowie się chorąży (praporecznik-bariaktar). W pośród koła siedzi na stołku dobrze wyuczona dziewczyna wyższego wzrostu, której lica okryte są białym rantuchem, a zowie się kralica (kralka-królowa); od niej to całe igrzysko przybrało i nazwę. Przy niej stoi ciągle jedno dziewczę, a mianuje się komorna albo dworzanka (dvorkiña). Całe koło potem wolnym krokiem się obraca, i śpiewa pieśni według porządku ustanowione. Król niepostępuje za kołem, ale z obroconą twarzą, ku pierwszemu dziewczęciu w kole zwolna się posuwa, a miedzy macha. Chorąży z obroconą twarzą do tegoż dziewczęcia wywija proporcem nieustannie. Po niejakić chwili król i chorąży po jednemu zwracają się na swoje miejsca, obcho-

dza wokoło całego koła; a stanawszy na pierwszych stanowiskach, na nowo jak pierwę grę rozpoczynają. Wuk Stefanowicz przytacza pieśń następną jako bardzo dawną, bo znaną przed czterema wiekami w Serbii:

Królu światły królu

Leljo!

Wstań i przejdź się

Kralice - Banice!

Wstań, i przejdź się

Od dworu, do dworu

Od dworu do dworu

Leljo!

Do Carewa stoła

Leljo!

Gdzie car wino pije,

Caryca mu służy

Ze złotą czaszą

Leljo!

K. Wł. Wojcicki.

System odosobnienia w więzieniach, przystosowany mianowicie do młodocianego wieku.

Więzienie, razem dom poprawy, w Paryżu dla młodych przestępców przeznaczone, zwane *de la Roquette*, już od dawnego czasu dwa mieściło oddziały; jeden dla tych, co na mocy wyroku sądowego, na odsiedzenia dłuższego lub krótszego więzienia wskazani; drugi dla owych małoletnich, co na żądanie rodziców lub opiekunów, celem poprawienia złych ich skłonności, tamże oddawani zostali. Lubo obydwa oddziały różne od siebie, przecież w obchodzeniu się z nimi, wszelką zachowywano równość, i podczas nocy tylko więźniów odosobniano. Przedstawianie ich z sobą, w godzinach zatrudnień, godzinach obiadowych, chwilach odpoczynku, najniekorzystniejsze spowodowało skutki, i przyczyną można, że częste przypadki recydyw, jedynie z powyżej przytoczonego powodu wynikały. Po wielu naradach więc, przedsięwzięto rzucić część więzienia podług systemu w Ameryce używanego i umieścić młodych uwięzionych, na wyrokem sądu osadzonych, tak w dzień, jako i w nocy, każdego z osobna, lubo pod ścisłym dozorem. Doprowadzono zamiar do skutku; a o takowym udziela nam Gazeta trybunałów (*Gazette des Tribunaux*) pod dniem 11. Stycznia r. b. następujące wiadomości: Oddział poprawy ojcowskiej (*le quartier de la correction paternelle*) odosobniono od oddziału młodych przestępców (*quartier des detenus*). W wspomnianym oddziale, mieszczą się dwa rzędy cel, na wspólny korytarz wychodzące, gdzie do poprawy przeznaczonych zamykają. W drzwiach znajdują się otwory, któredy przechadzający się po korytarzu dozorca, każde miejsce w celi okiem

przejrzeć, i wszystko, co się w niej dzieje, spostrzedz jest w stanie, gdy mieszkaniec celi żadnym sposobem dostrzedz nie może, że ktoś nań uważa, oraz, co się zewnątrz dzieje. Cele dostateczną obejmują przestrzeń, w zimie i w lecie świeże otrzymują powietrze: zimową porą ogrzane i całą noc oświecone. Młodzieniec, oddany tamże na poprawę, dyrektorowi tylko znawiska jest znany. O pewnych godzinach otrzymują uwięzieni pożywienie. W innych porach uczą ich czytać, pisać i rachunków, oraz zatrudniają ich podług okoliczności małemi robotami, nieodmawiając im książek. Duchowny, dyrektor i lekarz miejscowy odwiedzają ich często, a codzień przechadzają się po dziedzinie, w odosobnionych miejscach, lecz po jednemu tylko, w towarzystwie dozorca miejscowego. Przed tą reformą, w czasie, gdy uwięzieni wystawieni byli na niebezpieczeństwo życia wspólnego, na czterestu uwolnionych jedenaście liczyć można było recydyw. Od czasu zaś odosobnienia, tak dziennego jako i nocnego, w sto-pięćdziesięciu uwolnionych dwie tylko trafiły się recydywy.

Na poparcie tego twierdzenia, możnaby wiele przytoczyć faktów, między innemi następujący jeden przykład: Czternastoletni chłopiec, należący do oddziału skazanych przez sąd na więzienie, nie mógł być zagnalonym do pracy. Napominania, groźby, kary, wszystko nie trafiało do celu: chłopiec tak daleko się posunął, iż oświadczył, że jeżeli go dalej do pracy przymuszać będą, sam sobie kalectwo zada, i wistocie, gdy jednego dnia większe jak zwyczajnie czyniono mu wyrzuty, porwał za blisko leżący topór i jednym zamachem odciął sobie palec wskazujący u prawej ręki. Natychmiast przeniesiono go do oddziału (*correction pationelle*), zamknięto go w celi, i zostawiono go w odosobnieniu bez zatrudnienia, dla uniknienia którego, tak bolesną przyniósł ofiarę. Podczas pierwszych dni odosobnienia, krnąbrność jego i burzliwość się wzmacniały, poczem nastąpiło zdziwienie, tęsknota; żądał książek lub jakiegokolwiek zatrudnienia dla rozrywki; odmówiono mu jednego i drugiego, i pomimo prośb jego, miesiąc go tak cały przytrzymało. Po dwóch miesiącach nakoniec odosobnienia, dano się złagodzić naleganiom i łzom młodzieńca, co tak usilnie o zatrudnienie błagał, jak wprzód od takowego się chronił. Teraz stał się najlepszym robotnikiem w warsztatach zakładu, i ani jednej nie otrzymał kary, od czasu uwolnienia go z odosobnienia.

Zdarzenie owego chłopca jest tylko powtórzeniem kolei, zniejaką różnicą jednak, wszystkich umieszczonych w więzieniu dzieci i młodzieńców. W pierwszych dniach następuje najprzód mocne wzburzenie, poczem uspokojenie się, nuda, tęsknota, nakoniec okazuje się potrzeba zatrudnienia, a z nią pokora i żal. Powyższe przytoczenie małej ilości recydyw, nie jest jedynym skutkiem trafnie użytych w zakładzie środ-

ków, gdyż sposób użyty nie tylko uchronił od recydów, ale w większej liczbie przypadków zrzucił całkowite przeistoczenie się i trwałą poprawę, i na dowód tego przytoczyć możemy, że wielu z młodzieńców od siedemnastu do osiemnastu lat wieku, niektórzy należący do wyższego rzędu społeczeństwa, przez odosobnienie, przemienili gorszące skłonności w życie pracowite i moralne, ciągle z dyrektorem zakładu w najściślejszych zostają stosunkach, i szczerą okazują mu wdzięczność.

Młodzieniec, około lat siedemnaście mający, oddany wszelkiej rozpuszczonemu, oraz próżniactwu i na wszelkie złe rozpasanemu życiu, przyjęty został do zakładu poprawczego. Po kilku dniach wzburzenia oddał się pracy, rzec można, z namietnością. Po sześciomiesięcznej karze, wypuszczono go na wolność. Jednakowo po upływie miesiąca wolności, powrócił, oświadczając dyrektorowi, że ojciec jego wszedłszy w nowe związki małżeńskie, okazuje ku niemu niechęć, przez co należytego nie może otrzymać schronienia, żąda więc przyjęcia do dawnego odosobnienia, dla ochronienia się od pokusy i wrócenia do dawnego występku i nieczynnego życia. Lubo wolny, żądał na nowo odosobnienia

i jako dobrodziejstwo przyjmował, co dawniej dla niego karą być miało. Na żądanie jego, na nowo w celi go odosobniono, nim przez wpływ jednego z członków komitetu dozorczego, otrzymał miejsce w zakładzie gospodarczym, stosowne jego pracowitości i dobrym okazanym zamiarom.

Ile w moralnym względzie wartość przytoczonego systemu nie do zaprzeczenia, tak nie tyle wyrzec można co do stanu zdrowia odosobnionych; ponieważ w skutek ostatniej rewizji w więzieniu de la Roquette, między 480ciu uwięzionymi za wyrokiem sądowym, okazało się 60ciu chorych. W oddziale zaś (de la correction paternelle) ani jeden przypadek choroby się nie zdarzył.

Zowego rezultatu okazuje się, iż odosobnienie bynajmniej zdrowiu nie szkodzi. Z gazety, żąd wiadomości te czerpane, wycytujemy, iż więzienie la Roquette jedynym jest więzieniem we Francji, gdzie system odosobnienia zaprowadzony; że jednakowo Rząd podobny zakład dla młodych więźniów w mieście Tours urządzić zamysła. Bodażby wszędzie tak pomyślny skutek zyskał naśladowanie!

A. K.

W księgarni Ernesta Günthera w Lesznie i Gnieźnie wyszły, i w każdej księgarni krajowej i zagranicznej są do nabycia:

Wyboru kazań oryginalnych,

z najlepszych naszych dawniejszych i nowszych kaznodziejów zebranego,

Poszyt II.

Trzeci poszyt znajduje się pod prassą.

Kaligraficzne wzory polskie dla szkół elementarnych.

Napisał i ułożył S. Guhra.

Zeszyt 1. 10 sgr., czyli 2 złp.

Dobry Franuś i zły Kostuś,

czyli:

Życie dwojga różnie wychowanych dzieci.

(Z niemieckiego przez Tłumacza Genofewy i Eustachiusza.)

8. opraw. 15 sgr., czyli 3 złp.; na pięknym papierze z obrazkami kolor. 1 tal., czyli 6 złp.

Nr. 12. Przewodnika różniczo-przemysłowego zawiera następujący artykuł:

Rozprawa konkursowa o fabrykacji cukru z buraków. (Dokończenie.)